

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

♪[FRAGMENT UTWORU]

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Dzień dobry. Naszym gościem jest dzisiaj pan Jerzy Bartz. Perkusista, perkusjonalista, zaryzykuję stwierdzenie pedagoga, do czego dojdziemy, oraz globtroter i korespondent.**

JERZY BARTZ: Dzień dobry.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Może zacznijmy od tego nietypowo. Mówię perkusista, perkusjonalista. Język polski ma pewną taką wadę w stosunku do innych, że w języku angielskim jest pojęcie np. drummer, w Polsce perkusja, instrumenty perkusyjne, to się miesza, a przecież nie da się takiego muzyka jeden z drugim uzasadnić, że to jest to samo, więc może umówmy się od razu na wstępie, może niezbyt lubiane w Polsce słowo, jak będziemy mówić o perkusji będziemy mówić o bębnach, bębniarzu, bębnieniu żeby było wszystko jasne.**

JERZY BARTZ: Dobrze. Ja używam termin perkusjonista.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **To już bym się pogubił w takim razie, ale zacznę. Zacznijmy od samego początku. Ten początek to były - i tu se może takie tło naświetlmy, bo to były lata pięćdziesiąte. Te lata pięćdziesiąte to nie było tak, że wszystko mieliśmy takie same. Był okres nazywany stalinizmem, bierutyzmem. Nagle - właśnie nie wiem czy nagle – odwilż nagle, inny świat. Pan z tego, co wiem, zaczynał pierwsze swoje występy jeszcze amatorsko w tym pierwszym okresie. Jaka w ogóle była różnica pomiędzy życiem w stalinizmie, a życiem w odwilży?**

JERZY BARTZ: Życie chyba codzienne się nie różniło specjalnie, natomiast jeśli zajrzymy do życia kulturalnego, do pism, do artykułów, które się ukazały, no to były już jakieś pierwiosnki odwilży, która nastąpiła dopiero w zasadzie w pięćdziesiątym szóstym roku po zmianie władzy na gomułkowską władzę.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Pan swoją przygodę z muzyką – to już wiemy od Witolda Krotochwila - zaczął już w liceum...

JERZY BARTZ: Tak.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Władysława Czwartego.

JERZY BARTZ: Tak.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: I takie właśnie pytanie - W ogóle skąd to się wzięło, że nagle muzyka w liceum? Na ogół każdy ma jakieś inne plany na życie, przynajmniej wtedy.

JERZY BARTZ: Nie wiem. Wydaje mi się, że pierwsza rzecz – ludzie młodzi, tak jak ja wtedy byłem, interesowali się muzyką, w każdym razie czymś nowym. Musimy sobie zdawać sprawę, że w Polsce ludowej wtedy oprócz muzyki normalnie koncertowej, jeśli chodzi o inne rodzaje muzyki, to tylko była muzyka ludowa i pieśni masowe, więc jeśli ktoś chciał słuchać bardziej rytmicznej muzyki to słuchał radia.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Ale rozumiem nie polskiego radia?

JERZY BARTZ: Nie. (śmiech) Nie polskiego, zdecydowanie. Były pewne stacje, ja pamiętam najlepiej radio Luxembourg, które nadawało muzykę rozrywkową, bardziej zbliżone do tego, na co młodzi ludzie czekali. Muzykę rytmiczną, muzykę taneczną i jazzową pewną. Ja nie wiem, bo wtedy jak wysłuchiwałem tych różnych audycji muzycznych na ogół nie miałem wielkiego pojęcia o jazzie i w zasadzie nawet nie wiedziałem co to jest. Głównie interesowałem się stroną rytmiczną muzyki, wobec czego najbardziej takie interesujące dla mnie była muzyka Ameryki Południowej, różne rytmy latynoskie. Aż w pewnym momencie nagle usłyszałem jazz – to znaczy zespół Dixielandowy- i ta polifoniczna improwizacja trzech instrumentów melodycznych, no po prostu mnie zachwyciła i postanowiłem właśnie taką muzykę grać. A wtedy jako samouk uczyłem się trochę grania na perkusji, bo w młodości chodziłem trochę na fortepian, najpierw prywatnie, potem do kółka muzycznego, ale ponieważ nie było instrumentów w domu to było dosyć kłopotliwe, także musiałem z tego zrezygnować. Po czym chodziłem patrzeć na perkusistów zawodowych, żeby zobaczyć jak oni używają tych.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **No, miałem pytanie dlaczego akurat perkusja, ale już łatwo mi się domyślić skoro Pan się, tak...**

JERZY BARTZ: No, bo rytm, tak?

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Bo rytm...

JERZY BARTZ: A poza tym, łatwiej było kupić dwie pałki i na byle czym ćwiczyć.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie. To jest odrębna para kaloszy. Ale mówi pan, że poszedł pan słuchać perkusistów. Jakich? Poważnych, klasycznych? Czy istniały jakieś zespoły?**

JERZY BARTZ: Grających muzykę taneczną. Normalnie, nie raz w parkach były jakieś zabawy. To jakieś bardzo podstawowe rzeczy mogłem zaobserwować tam, bo jazzu wtedy jeszcze w zasadzie nie było, nie grało się. Grali tak zwany, jazz katakumbowy, melomani już, ale to było gdzieś indziej. To było w Krakowie, Łódź, a w Warszawie w zasadzie nie było takiej możliwości.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **W ogóle nie było takiej możliwości, żeby poza tym co pan mówi, posłuchać czegoś bardzo konkretnego i poważnego? Rozumiem, że jesteśmy w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, cały czas?**

JERZY BARTZ: Tak. Pięćdziesiąty czwarty rok jakoś. No i co się dzieje? Właśnie kiedy natrafiłem na tę stację z dixielandem to bardzo mnie to, po prostu zakochałem się w tego typu muzyce i porozumiałem się wtedy z Witkiem Krotchwilem, który grał na fortepianie.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Dodajmy - Panowie byli w tej samej szkole.**

JERZY BARTZ: W tej samej szkole, w tej samej klasie. Dokładnie klasa dziesiąta – jedenasta i postanowiliśmy skompletować zespół dixielandowy.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Już było wiadomo, że pan będzie na pewno na bębnach, Witold Krotechwil na fortepianie. I teraz, jak to było? Trzeba było znaleźć kogoś, kto na czymś gra czy ludzie po prostu łapali co wpadło w ręce?

JERZY BARTZ: Nie wiem, jakim cudem, żeśmy jakoś znaleźliśmy klarncistę, basistę chyba, po czym na końcu chyba trębacza i w takim składzie uczyliśmy się melodyjek i graliśmy..

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: ..jakich melodyjek? Skąd melodyjek?

JERZY BARTZ: To Witek Krotechwil prawdopodobnie jakoś przynosił. Słuchaliśmy tych radiostacji zachodnich. Były jakieś pewne przeboje, już takie rozpowszechnione w tych stacjach zachodnich. No i Witek te melodyjki grał, a reszta muzyków to brała jakoś i tak się zaczęło, ale jeszcze jedna rzecz. Ja przecież nie miałem instrumentu.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Właśnie. Na czym pan grał?

JERZY BARTZ: Jakoś tak szczęśliwie się złożyło, że znaleźliśmy jakąś spółdzielnię wyrobów metalowych, która miała salę i instrumenty w tej sali – fortepian, perkusję i pozwolono nam ćwiczyć za to, że od czasu do czasu, żeśmy dla nich grali muzykę taneczną, że oni mogli tańczyć i mieć zabawy dla pracowników prawdopodobnie tej instytucji. Za to mogliśmy tam ćwiczyć, robić próby. No i to była oczywiście duża pomoc.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Pamięta pan tę pierwszą perkusję, ten zestaw? Czy pamięta pan jaka to była jakość?

JERZY BARTZ: Nie, nie pamiętam.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: A czy pamięta pan jaka to była jakość chociaż, w stosunku do tego co później?

JERZY BARTZ: No na pewno fatalna, bo na fatalnych bębnach grałem przez wiele lat.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie to jest rzecz taka, że instrumenty, że ludzie chcieli grać. Coś się u nas pojawiało, ale nie bardzo mieli na czym. Wszyscy wspominają, że była to jakaś - może poza pianistami, ale to oczywiście zależało jak ten fortepian był nastrojony i w jakim był stanie. Natomiast pan zaczyna – nazwijmy to tak - na perkusji spółdzielczej, ale grywali panowie przecież po różnych klubach, różne występy były w różnych miejscach, różne zabawy. Czyli rozumiem, że woził pan cały czas tą perkusję, miał pan prawo ją wziąć, zabrać i gdzieś na niej grać?**

JERZY BARTZ: Tak. Mieliśmy prawo. Graliśmy różne potańcówki, na Pradze nawet byliśmy dosyć popularni, także nawet tacy...

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Och! To była duża popularność.

JERZY BARTZ: (śmiech) Tacy, po prostu – jak to mówiono – bikiniarze z Pragi, a niektórzy to już byli chuligani po prostu, nas rozpoznawali, że byliśmy nietykalni, bo wtedy sytuacja w tych miejscach gdzie myśmy grali, no zabawa była dosyć niebezpieczna. Były bójki, nieraz bardzo groźne, także...(śmiech) Ale jakoś tak to.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Artystów się nie mieszało rozumiem.**

JERZY BARTZ: Nie, nie. I jeśli chodzi o instrumenty, to bardzo długo grałem na bardzo marnych instrumentach. W pewnym momencie kupiłem od trochę starszego muzyka, perkusisty z zespołu „Pinokio” jego używane bębny i to już trochę poprawiło moją sytuację.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Ale zaczynał pan w szkole średniej. Rozumiem, że szkoła średnia, to miał pan jakieś plany na życie. W którym momencie pan sobie zdał sprawę, że nie pójdzie pan w tym kierunku, co gdzieś tam na pewno w głowie kiełkowało tylko, że będzie pan grał?**

JERZY BARTZ: Nie. Miałem poważne zamiary i je zrealizowałem, że będę elektronikiem. Dostałem się na Wydział Łączności, wtedy to się nazywało, na Politechnice, po czym przemianowano nazwę tego wydziału na Elektronikę i nawet

skończyłem go po wielu, wielu latach, wielu urlopach dziekańskich i przerwie między absolutorium, a zrobieniem dyplomu, ale skończyłem i pracowałem jako inżynier.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Czyli jest pan można powiedzieć perkusistą inżyniera.

JERZY BARTZ: Tak. (śmiech)

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Lub inżynierem perkusistą, ale czy dla pana muzyka była zabawą przede wszystkim?

JERZY BARTZ: Na początku była zabawą, hobby i zabawa. Oczywiście musiałem to godzić i to było niezwykle trudne. Połączenie wykładów na Politechnice i prób, i tych zabaw, które graliśmy to to było dosyć trudne.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Witold Krotochwil wspominał, że próby były obowiązkowe, pod karą.

JERZY BARTZ: Tak, tak. No szczególnie już później, jak żeśmy się odsunęli od tej spółdzielni, jak ja już studiowałem to myśmy znaleźli inne, lepsze miejsce do grania. To była sala Ministerstwa Handlu Zagranicznego – MHZ. Tam była sala, były instrumenty, trochę lepsze i tam żeśmy właściwie doszli do właściwego składu, tego Sekstetu Krotochwila. To był Włodzimierz Kruszyński na klarnecie, Bohdan Styczyński na trąbce, Zbigniew Orłowski na kontrabasie i ja na bębna i oczywiście Witek Krotochwil, który był kierownikiem tego zespołu, na fortepianie. Jak pan widzi nie mieliśmy jeszcze puzonisty potrzebnego do tego typowego składu dixielandowego i nagle w jakiś sposób zjawił się Zbyszek Namysłowski. To jeszcze w tym MHZ-ecie jak żeśmy graliśmy. Zupełnie sytuacja się zmieniła jak znaleźliśmy jeszcze lepsze miejsce w klubie „Hybrydy”. Tylko może się cofnę, bo było ważne wydarzenie w tej mojej historii, mianowicie Jam Session numer jeden, które zorganizował Leopold Tyrmand i to było coś niesamowitego, bo o jazzie mówiono bardzo źle, jeżeli chodzi o prasę. Dla tych dziennikarzy to była muzyka chuliganów, muzyka bezwartościowa, kakofonia dźwięków, tak to nazywano, i nagle oficjalnie jest koncert z takim plakatem, Tyrmand zapowiada, razem chyba jeszcze z innym aktorem, no i dzieje się coś niesamowitego. Widzimy prawdziwy koncert jazzowy, który pierwszy raz zobaczyłem dopiero muzyków grających jazz, rozentuzjowaną publicznością i w ogóle prowadzenie tego koncertu w atmosferze nieznanej, bo już Tyrmand nie wybrzydzał na tą muzykę, tylko ostro ją reklamował. I to było to Jam Session numer jeden. Nie wiem czy Witek

był, ale w każdym razie ja przekazałem - bo byłem na tym koncercie oczywiście - przekazałem jak to wyglądało, po czym już, po tym koncercie, było to wiosna pięćdziesiątego piątego roku, pojawiły się tego typu koncerty dosyć często w Warszawie, w dużych salach, jak w hali „Gwardii” pamiętam był taki koncert. Inny nazywał się „Zimno i gorąco” i oczywiście na te wszystkie koncerty, żeśmy chodziliśmy, wsłuchiwalismy i obserwowaliśmy muzyków grających. Oczywiście na tym pierwszym koncercie do najbardziej takich jazzowych był zespół „Melomanów” „Dudusia” Matuszkiewicza, także byliśmy, ja byłem w każdym razie zachwycony tym koncertem i dalej ciągle szukałem gdzie „Melomani” grali. Oprócz dużych koncertów „Melomani” grali również na zabawach tanecznych. Także uczęszczałem na te zabawy taneczne, obserwowałem perkusistę - Sobocińskiego, jak on gra i to była duża frajda brać udział w tych imprezach.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Właśnie dzisiaj się mówi koncerty, wtedy to było coś o czym się zapomniało. Pan właśnie powiedział- zabawy taneczne. Co to takiego było? Bo to nie były prywatne, jak to się dzisiaj mówi, potańcówki. To były organizowane jednak rzeczy.

JERZY BARTZ: Tak, ale to były zabawy normalnie gdzie się tańczyło, oprócz koncertów, które bywały tak jak wspominałem w hali „Gwardii”, no to oczywiście ludzie siedzieli i słuchali.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Różnica była taka, że tutaj słuchano, a tam tańczono. Państwo i tak graliście, co mieliście zagrać, co chcieliście.

JERZY BARTZ: Tak, tak. Także na ogół tak było, bo my wtedy też już sporo graliśmy.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Och sporo. Wszyscy wiedzą, że było mnóstwo plakatów w Warszawie. W pewnym momencie, czy pan pamięta kiedy, zespół stał się tak strasznie popularny? Jeszcze w okresie tuż przed hybrydowym.

JERZY BARTZ: Nie bardzo wiem, wydaje mi się, że jednak ta popularność w Warszawie, chyba była większa po zorganizowaniu w Hybrydach Hot-Clubu Hybrydy,

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Hot-Club to wiadomo, że to jest Krotochwil i Zabiegliński.**

JERZY BARTZ: Tak. Zabiegliński i jeszcze był zespół nowoczesny Modern Combo. Także te zespoły, to były zespoły, które otworzyły jakby ten klub na wiosnę. To chyba dwunastego maja pięćdziesiątego siódmego roku.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Nagle zrobiło się bardzo poważnie.**

JERZY BARTZ: No i wtedy już te zabawy, które myśmy grywali organizowane gdzieś tak półprywatnie, chyba przez różne instytucje, już nabrały jakiegoś większego rozgłosu. Pamiętam, że były pewne konkursy zespołów jazzowych organizowane przez Express Wieczorny, czy Życie Warszawy i myśmy grali, konkurencja to był drugi zespół taki dixielandowy, to New Orleans Stompers.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Znana marka.**

JERZY BARTZ: Tak i oni raz otrzymywali te pierwsze nagrody, a nieraz my, także to były już imprezy wychodzące poza...

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **...co dawała taka nagroda?**

JERZY BARTZ: Tam były jakieś...nie pamiętam czy pieniądze, drobne, reklamę dawała, bo mówiło się, że taki i taki zespół.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Było bardzo głośno o panach i zespole w Warszawie wtedy, tak jak sobie niektórzy przypominają, płoty były zaklejone plakatami.**

JERZY BARTZ: (śmiech) W każdym razie w pewnym momencie, muszę podkreślić, działanie Zbyszka Namysłowskiego, on jakby popchnął ten zespół na jakiś wyższy poziom. Postanowił, że zespół będzie miał charakter mniej zachowawczy, mniej nowoorleański, a bardziej wzorowany na revivalu muzyki dixielandowej już w latach pięćdziesiątych i wtedy, żeśmy zmienili nazwę na Modern Dixielanders i Zbyszek był kierownikiem wtedy, muzycznym jakby zespołu.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Przy tej okazji, bo to się zaczęło amatorsko, potem już w pewnym momencie trzeba było zdobywać umiejętności, czytanie nut, obracanie się w ogóle w całej stylistyce muzycznej.**

JERZY BARTZ: Czytania nut właściwie nie było. Nie przypominam sobie żadnej próby, żebyśmy czytali coś z nut. Na ogół wszystkiego, żeśmy się uczyli na pamięć. Doszło do tego, że w latach już właśnie pięćdziesiąt siedem – osiem, mieliśmy około stu utworów zaaranżowanych na pamięć.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Wszystko w pamięci.**

JERZY BARTZ: Wszystko w pamięci (śmiech), także nas zespołu Krotchwila czy Modern Dixielanders nuty nie dotyczyły.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **A mówi się, że jazz to ćwiczenie pamięci.**

JERZY BARTZ: (śmiech) No tak, tak. No i właśnie w momencie jak już powstał Hot-Club Hybrydy i zespół Modern Dixielanders stał się klubowym zespołem. Wzięliśmy udział w pierwszym przeglądzie amatorskich zespołów studenckich, jazzowych, we Wrocławiu i na tym przeglądzie, gdzie startowało dosyć dużo zespołów.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Dużo i to dobrych zespołów.**

JERZY BARTZ: No jakoś nasz zespół został wyróżniony. Natomiast przede wszystkim został wyróżniony i nagrodzony Zbyszek Namysłowski jako solista.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **W którym momencie sobie pan powiedział, albo dotarło, że to jest profesjonalizm?**

JERZY BARTZ: Jeszcze chyba nie. Nie dotarło.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Jeszcze nie?**

JERZY BARTZ: Zapomniałem powiedzieć, że w pięćdziesiątym szóstym roku, oczywiście był pierwszy Festiwal Jazzowy w Sopocie.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **To osobna w ogóle rzecz jest.**

JERZY BARTZ: Tak, tak. Tam z resztą sam pojechałem, widziałem, obejrzałem. Zbyszek Namysłowski grał chyba w pięćdziesiątym siódmym. Natomiast ja w pięćdziesiątym ósmym.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **To już była Warszawa.**

JERZY BARTZ: To już była, tak. To już zespół Modern Dixielanders grał na festiwalu, który nie odbył się w Sopocie, bo władze miasta nie chciały zorganizować festiwalu. Twierdziły, że taki festiwal stwarza niebezpieczeństwo dla publiczności.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Zabawy smutnych dzieci, jak to ktoś napisał.**

JERZY BARTZ: (śmiech) Tak? W każdym razie ten festiwal odbył się już w Warszawie, dzięki staraniom Jana Borkowskiego, Romana Waszki i oczywiście Leopolda Tyrmanda. Jeszcze nazywał się chyba Jazz '58.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Jeszcze to nie było Jamboree, ale to już był załączek Jamboree**

JERZY BARTZ: To był załączek Jazz Jamboree.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Pan oczywiście wiedząc, że jest coś takiego, wypadało być, pojechać, posłuchać, ale wszyscy tak wspominają. Jak pańska rodzina patrzyła na to, że pan obraca się w takim towarzystwie? Powiedzmy sobie.**

JERZY BARTZ: Nie miałem żadnego problemu tego typu.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Wielu ludzi wiem, że nie puszczano nawet w obawie, ale kiedy odbywały się w Warszawie to już było znacznie wygodniej. W ogóle jak się podróżowało w tamtych czasach? To zdaje się było...Jedna wielka improwizacja.

JERZY BARTZ: Ciężko. Ja chyba do tego Sopotu pojechałem na gapę. Po prostu nie miałem pieniędzy na bile (śmiech), więc słuchałem paru zespołów. Pamiętam był angielski zespół Dave'a Burmana, który mnie interesował, bo jeszcze ciągle najbardziej mnie interesował oczywiście w tym czasie dixieland.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Jasne, właśnie, dixieland. Mówi się, że był taki podział terytorialny w Polsce, że jazz nowoczesny to był - mówimy o bardzo wczesnych latach pięćdziesiątych szóstych, pięćdziesiątych piąty rok - że jazz nowoczesny to był Kraków, natomiast Warszawa to było – tak to nieładnie nazwijmy – siedlisko swingu i dixie.

JERZY BARTZ: Chyba tak było, bo zespoły...w Hybrydach był zespół nowoczesny ze Zbyszkim Namysłowskim grającym na wiolonczeli. To był Modern Combo.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Warszawa to były przecież nie tylko Hybrydy. To życie później...

JERZY BARTZ: Stodoła to był drugi klub.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Czyli życie koncertowe zaczyna się pojawiać. A czy można powiedzieć, że w tym momencie jazz wypłynął na wody oficjalnie?

JERZY BARTZ: Tak, bo były pewne oficjalne imprezy organizowane przez ZSP-studencką organizację. To były takie imprezy jak Juwenalia w Krakowie np. Myśmy pamiętam jeździli do Krakowa pamiętam, czyli to już były imprezy raczej koncertowe.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Mówi pan, że jeździliście. Czy to znaczy, że perkusista, bębniarz musiał te swoje bębny ze sobą zabrać, taszczyć? To musiało wyglądać okrutnie.

JERZY BARTZ: Tak, tak, musiał, tak. Było okrutne. Pamiętam, że na Juwenaliach jeździliśmy na platformie takiej ciężarówce i graliśmy na ulicach Krakowa. Nawet Tyrmand z nami kiedyś był i pamiętam jak nas zagrzewał do bardzo mocnego grania, bo on był takim patriotą Warszawskim i twierdził, że pokażcie tym krakusom jak się gra jazz.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Może jeszcze skończmy ten wątek – grał pan, jednocześnie studiował. Jak panu starczało na to wszystko czasu?

JERZY BARTZ: Nie starczało. To znaczy brałem kilka urlopów dziekańskich, gdzie po prostu przerywałem studia, po czym wracałem. Tak mi się udawało, że nie wyrzucano mnie z uczelni (śmiech), tylko że udawało mi się. Proszę sobie wyobrazić, że w latach, już nawet później troszeczkę, na stałe graliśmy z „Dudkiem” Matuszkiewiczem w Hybrydach. To był klub znany z różnych wydarzeń kulturalnych. Przychodzili różni ludzie z różnych środowisk i np. często bywało, że moi asystenci, u których musiałem zaliczać ćwiczenia przychodzili do Hybryd wieczorem (śmiech) i widzieli mnie grającego tam. Byli bardzo sympatyczni i ułatwiali mi pogodzenie tych dwóch rodzajów zajęć, jakie miałem. Muzyki i studiowania.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Skończył pan studia, otrzymał pan tytuł inżyniera. Poszedł pan do pracy. Czy w tym momencie zrobił sobie pan przerwę od grania, czy nadal pan grał?

JERZY BARTZ: Miałem szczęście, że dyplom robiłem u profesora na Akademii Muzycznej, ponieważ kończyłem specjalizację elektroakustyki, a dyplom pisałem o akustyce gitary, więc to niby inżynierski dyplom, ale łączący również sprawy muzyczne i tą moją pierwszą pracę dostałem w Wyższej Szkole Muzycznej u pana profesora Rakowskiego, byłem jego asystentem, ale udało mi się, to wtedy były w ogóle nakazy pracy. Trzeba było iść do pracy i to na pełny etat, gdzie dana instytucja wysłała, więc raz, że udało mi się znaleźć pracę w Akademii i w dodatku na pół etatu, także dzięki temu mogłem godzić. Pamiętam, że bardzo często, w latach sześćdziesiątych miałem nagrania w radiu, bardzo dużo pracowałem jako muzyk studyjny. Nagrania gdzieś były popołudniu, a ja swoją pracę kończyłem już o godzinie pierwszej i leciałem do radia, także to udawało mi się pogodzić. Potem było już coraz trudniej. Jeszcze jak byłem normalnie pracownikiem Wyższej Szkoły Muzycznej,

wyjeżdżałem za granicę i też dzięki profesorowi Rakowskiemu udawało mi się wyjechać nawet na miesiąc do Stanów, na Kubę na parę tygodni.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Szczęśliwy traf na człowieka.**

JERZY BARTZ: Tak. Niezwykle sympatycznie podchodzącego do życia.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Wspomniał pan postać „Dudusia” Matuszkiewicza, z którym pan grał. Może powiedzmy sobie, kto to był „Duduś” Matuszkiewicz?**

JERZY BARTZ: Doszliśmy do tych swoich grań w roku pięćdziesiątym ósmym - może jeszcze wspomnę - w pięćdziesiątym dziewiątym... No w pięćdziesiątym ósmym dla nas pewnym wydarzeniem w naszym środowisku był wyjazd Ptaszyna Wróblewskiego do Stanów. Do orkiestry międzynarodowej. To, że Polski muzyk jedzie do Stanów grać z Amerykanami i innymi międzynarodowymi muzykami było czymś bardzo ważnym. Oprócz tego Ptaszyn przyjechał z następnym zespołem, mówię chronologicznie czy to nie było przed tym. „Duduś” Matuszkiewicz zorganizował Polish All Stars i wyjechał na zachód jako pierwszy zespół jazzowy. All Stars pojechało do Kopenhagi. Skład to był „Duduś” oczywiście, Bohdan Styczyński chyba, nie pamiętam kto grał na fortepianie, albo Andrzej Kurylewicz, albo Andrzej Trzaskowski. Guccio Dyląg na basie, a Tadeusz Federowski na bębnach, także ten zespół był pierwszym zespołem, który wyjechał do Europy zachodniej.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Wspominał Witold Krotochwil, że również i panowie wybrali się – co prawda był to nazwijmy to festiwal, tak zwany, młodzieży we Francji. Ale to był ten sam okres, również nie oszczędzali się panowie i demonstrowaliście dixie znad Wisły.**

JERZY BARTZ: Tak. No więc, zaraz po wyjeździe „Dudka”. Właśnie w jakiś sposób, ZSP najprawdopodobniej, wytypowało nasz zespół jako zespół studencki Hybryd. Żeśmy wyjechali do Francji na festiwal w Tuluzie. Nie był to festiwal jazzowy, był to ogólnie festiwal gdzie gromadziły się zespoły i ludowe, i z innych dziedzin kultury. No myśmy byli jedynym właściwie zespołem jazzowym. Mieliśmy bardzo dobre przyjęcie, no może dlatego, że byliśmy jedyni grający jazz.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Właśnie pamięta pan ten wyjazd jak on przebiegał? Bo to jednak, podejrzewam pierwszy pański kontakt z Zachodem?

JERZY BARTZ: To był tak pierwszy.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Jak wyglądał ten wyjazd, czy to był jakiś szok? Wszystko po drodze panowie oglądaliście? Pańskie późniejsze życie pokazuje, że na pewno pan się bardzo dużo rozglądał wokół siebie.

JERZY BARTZ: Niewątpliwie no szok był, ale właściwie szoku się spodziewałem mniej więcej. Orientowałem się w sytuacji politycznej. Natomiast było parę rzeczy, że nam zorganizowano ten wyjazd bardzo przyjemnie. Myśmy dużo zwiedzali po całej południowej Francji, żeśmy jeździli autobusami na przykład takie średniowieczne miasto Carcassonne zwiedziliśmy. Parę innych miejscowości, ale w zasadzie to co żeśmy - przynajmniej ja - przeżyłem w Paryżu to było najważniejsze. Mianowicie był to koncert w klubie "Blue Note" koncert Stan Getza. Tam przez parę ładnych godzin siedziałem no w odległości paru metrów od wtedy no takiej gwiazdy perkusji Kenny Clarka człowieka, który w zasadzie razem z Parkerem i Gillespiem zapoczątkowali bebop, jazz nowoczesny. Także to było bardzo duże przeżycie. Obserwowałem go jak, oczywiście jego granie i wtedy tam stwierdziłem, że najważniejsze dla perkusisty - oczywiście w danym okresie historycznym i stylistycznym niezależnie właściwie właśnie od stylu, przecież grałem dixieland - zadaniem perkusisty jest danie ekscytującego rytmu, po prostu swingowanie razem z kontrabasistą, że tych dwóch muzyków musi dać niezwykle solidną podstawę rytmiczną.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Rozumiem, że słuchanie na żywo wzbogaca o wiele bardziej niż obcowanie z nagraniami.

JERZY BARTZ: Tym bardziej, że nasze słuchanie tutaj odbywało się na jakiś prymitywnych odbiornikach, których pasmo przenoszenia częstotliwości było tak małe, że na przykład nie można było wysłuchać co perkusista gra na talerzu, dopiero zobaczenie tego to było, był dla mnie wielki szok, bo na ogół perkusiści ćwiczą na bębnach jakieś figury, jakieś natomiast Kenny Clarke grał bardzo prosto, od czasu do czasu grał tak zwane „fill in” albo „fill out”, ale główna zaleta, główna wartość jego grania było to swingowanie czyli podkład rytmiczny pod solistę.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie to był Pana rozumiem pierwszy taki perkusista z wysokiej półki, którą zobaczył pan na żywo. Później widywał pan jeszcze wielu innych. Czy jeszcze ktoś zrobił na panu takie wielkie wrażenie?**

JERZY BARTZ: Nie.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Rozumiem, że liczyło się wtedy, że ten pierwszy raz.**

JERZY BARTZ: To było pierwszy raz. Mało tego. Grając, biorąc udział w tych próbach, to to co nam dawał, te wiadomości które przekazywał Zbyszek Namysłowski sprawdzały się w moim słuchaniu tego Kenny Clarke. On właśnie jeszcze w Hybrydach na przykład prosił mnie i basistę, żeby się wyłączyć z próby, kiedy instrumenty melodyczne próbowały melodyjki, a myśmy szli do innej sali i z pół godziny graliśmy rytm, bluesa na przykład dwunastotaktowego. Usiłowaliśmy grać bardzo równy swingujący rytm. To było nasze takie podstawowe ćwiczenie i właśnie obserwując Kenny Clarke stwierdziłem właśnie, że Zbyszek miał rację, bo on właśnie w ten sposób podchodził do naszego grania, do naszego rytmu.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Czyli był pan już jak to rozumiem sobie na dobrej drodze tak, że tak ma być. Pójdźmy teraz krok dalej bo mówimy tym, że grał pan na bębnach, bębnił pan na specjalnych urządzeniach w pewnym momencie pojawiły się w pana życiu, tak zresztą patrząc dookoła instrumenty perkusyjne. Skąd to się w ogóle wzięło?**

JERZY BARTZ: Wzięło się, tak jak mówiłem na początku słuchając muzyki tanecznej interesowały mnie rytmy tak zwane latynoskie. Po prostu były troszeczkę bardziej skomplikowane, trzeba było je rozszyfrowywać i to już całe właściwie życie to mnie interesowało, tego typu rytmy. W dodatku w latach - na Zachodzie w pięćdziesiąty chyba ósmy, dziewiąty, ale do Polski też w latach sześćdziesiątych na początku dotarła moda na bossa novę i na właśnie tego typy rytmy.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie nagle się okazało, że dlatego, że są rytmy to są też inne instrumenty, czy to było poszukiwanie brzmienia innego?**

JERZY BARTZ: Na razie nie, nie. Ja grałem jeszcze wtedy na normalnym zestawie perkusyjnym, a moim towarzyszem w tym graniu był Józek Gawrych, który grał wtedy na bongosach i na innych jeszcze tak zwanych wówczas przeszkadzajkach.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Właśnie. Kiedy Pana, że tak powiem, ukąsiły te przeszkadzajki?**

JERZY BARTZ: Już wtedy, cały czas. Ale może jeszcze wspomnę, bo tak żeśmy pominęli sprawę „Dudusia” Matuszkiewicza.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Może właśnie powiedzmy sobie „Duduś” Matuszkiewicz. Bo były takie cztery nazwiska, o które chciałem zapytać.**

JERZY BARTZ: Więc tak. Sprowadził się do Warszawy, jak rozwiązał melomanów. Grał swing w różnych składach na początku, ale chyba w sześćdziesiątym roku, czyli po moim przyjeździe, po tej Francji zaproponował mi stałą współpracę no to był, zawsze uważałem, że jest to czołowy muzyk, zawsze podobali mi się melomani i to był wielki zaszczyt i awans dla mnie zostałem członkiem tego Swingtetu Matuszkiewicza.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Jaka to była osobowość?**

JERZY BARTZ: No był świetnym kierownikiem zespołu, oczywiście świetnym muzykiem. Bardzo lubiłem jego improwizację, po za tym był bardzo tolerancyjny dla mnie, bo myśmy z „Dudkiem” Matuszkiewiczem graliśmy oprócz jazzu muzykę rozrywkową, akompaniowaliśmy różnym wokalistom, czołowym wokalistom w Polsce i tutaj moje braki na przykład w czytaniu nut okazały się bardzo trudne do przeskoczenia, ale przez właśnie jego postawę, że dawał mi czas, dawał mi czas, żebym na przykład- jak żeśmy grali w telewizji, mieliśmy graliśmy w takim programie reżyserowanym przez Janusza Rzeszewskiego „Muzyka łatwa i przyjemna”. Było szereg muzyków, trzeba było odczytać ich fragmenty z nut, więc na ogół tak po pierwszym utworze brałem szybko nuty następnego uczyłem się na pamięć, co się dzieje w tym utworze i już byłem przygotowany do tego utworu jak nastąpiło nagrywanie i w ten sposób oczywiście równocześnie bardzo uczyłem się po prostu w domu czytania nut.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Czyli rozumiem zapłon od „Dudka” przyszedł?**

JERZY BARTZ: Tak, tak. Poza tym tak jak pan wspominał, kiedy poczułem się muzykiem zawodowym, właśnie u „Dudka” w ten sposób wciągnął mnie.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Rozumiem Dudek był profesjonalistą i to była firma, tak można powiedzieć.**

JERZY BARTZ: Tak.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Następne nazwisko, o którym pan zresztą już wspominał, bardzo istotna w polskim jazzie właśnie muzyk Leopold Tyrmand.**

JERZY BARTZ: Tak z nim jeszcze myśmy byli młodzi, żeśmy nie bardzo mieli... to była postać jak... Był bliskim przyjacielem „Dudka” i w ten sposób myśmy go oczywiście znali, ale jakiejś takiej, bliższego kontaktu towarzyskiego z nim nie mieliśmy.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Ale była to postać, było o nim głośno.

JERZY BARTZ: Tak, tak był świetny. On pokazał nam styl bycia normalnego, kulturalnego człowieka Zachodu. Kiedy myśmy mieli tutaj no taką szarżę, on pokazał nam coś co błyszczało bardzo.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **To może sobie wyjaśnijmy to było takie pojęcie wtedy uknute w Polsce “bikiniarz”, czy to chodzi o bikiniarstwo, czy to było coś jeszcze innego?**

JERZY BARTZ: Bikiniarz to była nazwa dana, dawana różnym niezbyt pozytywnym postaciom. Prawdę mówiąc no władze to kojarzyły “bikiniarz” to chuligan. Sama nazwa wzięła się od rodzaju ubioru. Krawat z wybuchem bomby atomowej na bikini był taki popularnym.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Czyli, bo taka ważna rzecz. Tyrmand, to nie było bikiniarstwo, rozumiem.**

JERZY BARTZ: Nie. Tyrmand był bardzo kulturalna postacią. Popularyzatorem najlepszego jazzu wtedy. Także oczywiście to tylko propaganda starała się z niego zrobić jakąś postać ujemną. Nie zapomnę wierszyka, jaki stworzył i opublikował w Szpilkach Minkiewicz po koncercie Jam Session numer jeden. Krytykował Tyrmanda, że zorganizował pokaz muzyki wrogiej, imperialistycznej i ten wierszyk, każda zwrotka kończyła się „i Tyrmand USAmożliwniony i Tyrmand USAtysfakcjonowany” i „usa” dużymi literami było.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Aaa (śmiech)**

JERZY BARTZ: Że niby to jest wróg USA, USAmożliwniony, USAtysfakcjonowany

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Już pan wspomniał, zaczęło pana lekko podgryzać, interesować instrumenty perkusyjne. To była kwestia tego, że samej**

rytmiki, brzmień, ich pochodzenia? Wtedy, bo dziś to już wiem, że pana interesuje wszystko, co jest z tym związane.

JERZY BARTZ: Interesowało mnie po prostu sposób grania, same rytmy, polirytmia. Więc wsłuchiwałem się w różne zespoły. Rozsupływanie tej muzyki było niezwykle interesujące, także..

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Pamięta pan swój pierwszy instrument perkusyjny? Ja się tutaj może inaczej...Czy to był instrument, który pan – jak to się mówi – odkrył? To był instrument, który funkcjonował, istniał? Czy też był to instrument, który pan sobie stworzył? Właśnie, te instrumenty się kupuje, samemu się buduje, wynajduje się gdzieś wśród różnych zespołów?

JERZY BARTZ: Wynajduje się albo się kupuje. Samemu jest... no trudno byłoby.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Są to rzeczy, które istnieją, rozumiem, od pokoleń.

JERZY BARTZ: Tak, tak. Mój pierwszy instrument, nie bardzo sobie przypominam. Zobaczyłem, że Gawrych, który grał – ja grałem na normalnym zestawie perkusyjnym, on grał na instrumentach perkusyjnych. On grał na bongosach, więc to był pierwszy instrument, który widziałem jak się gra, i grał na kondze chyba, czy na kongach. Także on był pierwszym tym dodatkowym perkusistą w zespole.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Jasne. Kiedy pan zaczął zbierać te wszystkie dodatkowe instrumenty perkusyjne?

JERZY BARTZ: Dosyć dawno. Tam w rogu akurat (śmiej) są instrumenty z Kamerunu, które były chyba pierwszymi instrumentami egzotycznymi, które kupiłem tutaj w Warszawie.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Wspomniał pan Kamerun. Jakie jest pochodzenie tych instrumentów. Wiadomo bębny zostały wprowadzone z muzyką jazzową, która do nas przyszła, musiała być sekcja rytmiczna. Instrumenty perkusyjne mają swoje pochodzenie. Zazwyczaj tak się utarło po nazwiskach tych największych, najwybitniejszych perkusjonistów,

którzy bywali z zespołami jazzowymi. Mówi się, że jest to Ameryka łacińska, ale pan wspominał przed rozmową, że przede wszystkim Afryka.

JERZY BARTZ: Proszę pana. W zasadzie wszystko to, co jest grane na Kubie jako muzyka folklorystyczna to jeśli chodzi o rytm, to pochodzi z Afryki. Na przykład ja analizowałem muzykę jaka jest akompaniamentem w ceremoniach religijnych, voodoo i santerie na Kubie i te pieśni, które oni grają przez te dwieście czy trzysta lat, które upłynęło od momentu przybycia pierwszych niewolników na druga półkulę w zasadzie nic nie zmieniły. Rytm podstawowy np. muzyki zachodniej Afryki z Nigerii, głównie plemienia Joruba i jest grany do santerii, czyli ceremonii religijnych na Kubie, rytm grany na bębnach jest ten sam. Czy Afryka Zachodnia, czy ceremonia religijna w Hawanie- jest ten sam rytm. Ja jak byłem w Afryce nie musiałem się uczyć. Znałem to, znałem to już z Kuby, z rytmów Kubańskich. To samo w Brazylii. Zresztą podobne plemiona wędrowały na Kubę i do północnej Brazylii. To jest głównie plemię Joruba z Nigerii. Nic dziwnego, że rytmy są takie same. Tak samo jak postacie religijne.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Rozumiem, że korzenie tej muzyki są bardzo głębokie? I teraz instrumenty do tego wymyślono w Afryce rozumiem, potem nie wiem czy one przyjechały, czy zostały wymyślane ich nowe wersję. Pan je zbiera, instrumenty przecież.

JERZY BARTZ: Niewolnicy nie przewozili żadnych instrumentów. Robili je po prostu, tutaj już w Ameryce na wzór bębnów, które już mieli, czy innych instrumentów, z których korzystali w Afryce. Niektóre instrumenty powstały w tych nowych krajach, np. bongosy są instrumentem czysto Kubańskim. Wymyślono dwa bębny połączone na Kubie.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Jak duży arsenał, albo ile takich instrumentów w ogóle istnieje? Iloma pan dysponuje, u siebie w swoim graniu? Czy kiedykolwiek pan liczył?

JERZY BARTZ: Nie, nie liczyłem, Są pewne podstawowe zestawy, które używają muzycy w tych różnych ceremoniach czy w muzyce, bo przeszło to wszystko do normalnej muzyki użytkowej, tanecznej Kubańskiej.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: Właśnie. Z niej poszło jeszcze dalej, do muzyki, którą możemy nazwać rozrywkową, ale tak jak pan chyba wspominał,

czy to są instrumenty te, które rzeczywiście są wyprodukowane gdzieś tam w lesie w Afryce, czy jednak to już jest przemysł?

JERZY BARTZ: Na ogół przemysł. I teraz jeśli weźmiemy i zobaczymy na najlepszych muzyków Kubańskich i Brazylijskich, oni wszyscy grają na instrumentach Amerykańskich, fabrycznych, różnych firm.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Rozumiem, że chodzi o wygodę.**

JERZY BARTZ: Tak, tak. Bo na tych instrumentach, no łatwo się je stroi, a instrumenty takie jak tam u mnie w rogu stoją to trudno, kołki, nagrzewanie nad ogniskiem trzeba było robić, także bardzo było trudno je przystosować do koncertu czy do grania.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Pan jest również autorem podręcznika dla perkusistów. Czy to ma związek, że ma zadanie pomóc ludziom poruszać się w materii perkusyjnej? Powiedzmy sobie rytm też trzeba traktować bardzo poważnie?**

JERZY BARTZ: Podręczników to ja napisałem chyba dwanaście czy piętnaście (śmiech), ale właściwie nie zrobiłem podręcznika obejmującego różne instrumenty perkusyjne.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Natomiast chodzi mi o to, że jest to bardzo poważna rzecz grać na perkusji, nie tylko jak pan wspominał , że wziąć pałeczki i że rytm.**

JERZY BARTZ: Jeśli ktoś chce rozszerzać swoje umiejętności poza zestaw perkusyjny, to oczywiście jest zupełnie inna technika. Granie dłońmi, palcami, ręką, także to..

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: **Czy takie rzeczy same przychodzą czy trzeba się od kogoś uczyć?**

JERZY BARTZ: Nie no, trzeba się uczyć (śmiech), ale to też głównie trzeba to widzieć, bo tego ze słyszenia jest bardzo trudno nauczyć tylko słuchaniem, może wręcz wprowadzać w błąd.

DZIENNIKARZ JACEK WRÓBLEWSKI: O, na ogół instrumentalisci mówią, że dużo słuchają. Czyli instrumenty perkusyjne to jest rzecz, którą trzeba widzieć przede wszystkim. Czyli coś zupełnie innego. I wypada życząc zdrowia, podziękować. Naszym gościem był Jerzy Bartz. Dziękuję bardzo panie Jerzy.

JERZY BARTZ: Dziękuję.

♪[FRAGMENT UTWORU]

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]